№ 83

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 6 LISTOPADA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1836.

KAPITALIK.

POWIEŚĆ Z CZASÓW JANA III.

r. 1690.

(Ciąg dalszy.)

III.

Maryjanna po tej scenie, tak bolesnej dla jej serca, nie wiedziała sobie ani rady, ani miejsca; to siadała do krosienek, to brała do ręki żywoty Świętych, zatrudnieniem i czytaniem rada była oderwać się od myśli trapiących; ale daremnie. Widmo nieszczęścia stanęło blizko przy niej, i dręcząc okropnym widokiem, straszyło przeczuciami rzeczy okropniejszych jeszcze. Z serca skrwawionego nie mogła wyrwać tej boleści, która w jej łono ostrym wkłuła się cierniem, i ranę rozjątrzała coraz bardziej i bardziej. Łzy były jedyną ulgą, jedyną nieszczęśliwej pociechą. Opuściła izbę, by w cichym, samotnym ogrodzie wypłakać się mogła do woli. Ale widok ogrodu nawiódł na pasma jej pamięci całą nić przeszłości, pełnej chwil wesołych, przepędzonych z kochankiem, i uczuła całą miłości władzę, natenczas najmocniej się rozwijającą, kiedy serce pokonać ją zamierza. »To mi tylko pozostało, mnie biednej«, — mówiła płacząc, — »te miejsca kochane, te drzewa, świadki mojego szczęścia, dziś patrzą na łzy moje. I dla czegoż tak się stać musiało? Wojciechu mój, żadna siostra nie miłowała brata swojego tak wielce, bo żadna takiego dla brata nie zrobiła poświęcenia. Nie ma nadziei! odwłoka nie przyniesie mi nadziei! możeż przynieść pociechę jaką? Mój Jasio, mój drogi, i ty płakać będziesz, gdy się dowiesz, i twoje zatruję życie, boś tak dobry był dla mnie; Boże! Boże! dla czegoż tak się stać musiało?« — Łzy zatopiły jej oczy i nie widziała już nic przed sobą.

Dzień, co tyle przyniósł boleści i utrapienia dla niej, zbliżał się do zachodu. Wieczór spadający z nieba zastał ją jeszcze w ogrodzie, w altance drzew grabowych, siedzącą na ławie darniowej, i płaczącą. W takim stanie zastała ją ciotka, szukająca Maryjanny po ogrodzie.

— Pięknie, pięknie Maryniu, — rzekła ciotka, — jak mamę kocham; matka umiera, a ona spokojna, jak gdyby nigdy nic.... siedzi sobie w altance.

— Co mówisz o matce? na Boga! bieżmy; — zapytała Maryjanna przelękła.

— Rychło wczas; kiedy ją potrzebowano, to jej nie było.... Gdzie biegniesz, gdzie? stój! poczekaj! wróć się! nie chodź! Chwałać Bogu mam rozum, i przytomną jestem zawdy: po lekarza już posłałam; matka usnęła na chwilkę, i dobrze, że usnęła; sen ją pokrzepi, nie trzeba jej budzić; chcesz może matkę obudzić i zabić po raz drugi.

— Ciociu! — przemówiła głosem bolesnym Maryjanna, — ja ciebie nie rozumiem, nie pojmuję.

— Jaka mi! nie rozumie, nie pojmuje; jasno przecież mówię, Bogu dzięki! może-to nie wiesz,

że uporem twoim zmartwiłaś matkę słabą, zachorowała bardzo, i Bóg wie, co się dalej stanie; niebezpiecznie chora, a tyś temu winna, nie kto inny, nie.

— Cióciu, idźmy; jak skoro matka się przebudzi, powiesz jej, że....

— Cóż mam powiedzieć? może przecie...

— Uczynię wszystko, co mi rozkaże.

— Więc pójdziesz za Domarada Starostę?

— Uczynię, co mi czynić rozkaże.

— Teraz Maryniu idźmy, można i zbudzić matkę; bo gdy się dowie o twojej uległości, przyjdzie do zdrowia znowu, jak upór twój pozbawił ją zdrowia i siły; idźmy.

Wychodzące z ogrodu, postrzegły przed dworem obcego jakiegoś człowieka. Zadziwiona ciotka zapytała: Co-za jeden, zkąd idzie, do kogo, po co. Sługa odpowiedział, że jest wysłanym od Pana Rawy Wojckiego z pisaniem do Pani Malczewskiej.

— Od Pana Rawy... Rawy? jak żyję anim zasłyszała o takiem nazwisku, — rzekła ciotka list odbierając, ale Maryjanna, słysząc to imię, zbladła nagle i zmieszała się okropnie. Słyszała bowiem od Jana, iż Pan Rawa jest opiekunem jego; myślą odgadła całą tajemnicę, i bez wiedzy, bez woli nawet zapytała się sługi; a skoro odpowiedź tegoż dała jej wiadomość, że Pan Rawa, wraz z Janem, obadwa stanęli w gospodzie, i za chwilę sami osobiste złożą Pani Malczewskiej służby swoje, zbladła okropnie i z załamanemi rękami wbiegła do domu do komory swojej, i niemal bez przytomności rzuciła się na krzesło, rzewnie płacząc.

Po chwili nie długiej weszła do izby ciotka z listem w ręku, i zaczęła mówić w ten sposób:

— Panno Maryjanno! teraz pora właśnie pozbyć się natręta; przybył, jest tutaj, w gospodzie stanął. P. Rawa, co się opiekunem jego zowie, pisze oto, i zapytuje się, żali mu wolno będzie przybyć wraz z Panem Janem. Więc, jak powiadam, teraz pora właśnie; siadaj Maryjanno i sama odpisz, ja ci gadać będę słowa listu, odpiszesz krótko i węzłowato, bo na cóż obwijać w bawełnę; szkoda czasu, jak mamę kocham, szkoda. Odpraw go z kwitkiem, a potem idź do matki, obudź i powiedz, żeś zrobiła już swoje, a obaczysz matka wstanie, i będzie zdrowa, jak rybka.

Kiedy Maryjanna milczała i nie dawała żadnej zezwolenia oznaki, przerwaną mowę dalej zawiązała ciotka, mówiąc: »Pomnij Maryjanno, że tu chodzi o zdrowie i życie matki, o los brata Wojciecha biednego, nieszczęśliwego, jęczącego w kajdanach; biedny Wojciech, ale już nie biedny, bo go siostra kocha. Tu, jak mamę kocham, wyboru nie ma, jeżeli nie siędziesz i nie odpiszesz sama (ja się w te rzeczy nie wtrącam wcale, Boże uchowaj!), jeżeli nie odprawisz zalotnika tego, wszystko przepadło; matka umrze, brat umrze, i sama umrzesz z żalu, zgryzoty, utrapienia i rozpaczy, żeś zabiła matkę, brata zabiła, i siebie zabiła. Masz papier, masz pióro, masz inkaust. Maryniu moja! Maryniu upamiętaj się, miej rozum i bądź posłuszną; posłuchaj mądrej rady, zbawi ciebie, matkę i brata; jak-to wiele rzeczy od ciebie zawisło! przyjdź do siebie... siadaj i pisz.

Dziewczyna, odurzona temi słowy, nie wiedząc nawet co czyni, usiadła do stolika. List, który napisała do Pana Rawy, podyktowany przez ciotkę, następującej był treści:

»Wielmożny mnie wielce Mości Dobr.!

»Pisanie WPana doszło rąk naszych szczęśliwie; »matka moja, ponieważ chora i spi, nie odpowiada na to pisanie; ale mnie niżej podpisanej przy»stało dać odpowiedź, jaka widzę jest potrzebną, »ażeby ani WPan Dobr., ani zacny Jmość Pan Jan, »pod jego opieką stojący młodzian, nie czynił pró»żnych, a dalszych zabiegów około ręki mojej, któ»rą oddaję w śluby dozgonnie W. Panu Urodzone»mu Domaradowi Staroście, i to już wkrótce; bo »takie jest życzenie matki mojej i moje... postano»wienie, które się nie odmieni; a zatem nie pozo»staje nic więcej, jak zostawać mnie wielce WPanu najniższą służebnicą.

Maryjanna Malczewska.»

Ostatnie słowa listu tego, pisanego ręką drżącą, zmyte zostały łzami, których pisząca wstrzymać nie mogła, i niemi zalała papier.

Posłaniec odszedł z listem, a Maryjanna..... nim

powiem, co się dalej z nią działo, zwrócę uwagę czytelnika na scenę, jaka nastąpiła w gospodzie, po powrocie wysłanego do dworu Bazylego.

Młody Jan, którym miotały uczucia radości i niepokoju, i przerzucały sobie nawzajem serce jego, jak żacy piłką igrający, nie podołał dosiedzieć miejsca, wybiegł ku dworowi, naprzeciw posłańcowi; ukryty za stodółką, czekał, wyglądał powrotu Bazylego.

Postrzegłszy go, skoczył ku niemu, wyrwał mu list z ręku, i czytać zaczął. Śród czytania zmieniały się kolory twarzy jego; zniknął rumieniec, stała się blada, i sino-biała, właśnie jak gdyby czarodziejnik jaki różę czerwoną nagle w białą przemienił... List wypadł mu z ręku. Bazyli osłupiał, patrząc na młodziana, przeżegnał się dwa razy.

— Do pięciu ran! co się stało? — zapytał. — Gwałtu! co się stało? — zapytał raz wtóry i trzeci; schylił się po list na ziemi leżący, a nim go podniósł, Jana już nie było... — Co się stało? — pytał się sam siebie, i wolnym krokiem zbliżał się do gospody. Pan Rawa list odczytawszy, zwiesił głowę, podumawszy chwilę, rozkazał szukać Jana. Szukanie było daremne. Wysłani wrócili, oznajmując, że Jan najął konia u wieśniaka i pogonił gdzieś drogą ku Sądczowi.

IV.

Pan Rawa, niespokojny o młodziana, rozkazał co żywo siodłać konie, a Bazyli zafrasowany był wielce o trzos z pieniędzmi, który był powierzył Janowi, a w pierwszym przestrachu nie miał nawet odwagi do wyznania prawdy przed panem swoim.

Po całonocnej gonitwie stanął Pan Rawa w mieście, do którego dążył, i w którem spodziewał się znaleźć Jana, ale omylona została nadzieja. Po długich szukaniach i pytaniach odkrył ślad tylko dalszej Jana ucieczki; w Sądczu bowiem wynajął innego konia i wyjechał z miasta, ale w którą stronę? opowiadający zapewnić nie umieli.

Niespokojność Pana Rawy doszła do najwyższego stopnia, i narzekał na los niefortunny, że taką obdarzył go opieką kłopotliwą. Na Jana wszelako nie miał gniewu, bo czuł i odgadywał rozpacz młodziana, zawiedzionego tak bardzo w nadziejach najsłodszych. Ale w takim razie co począć, sam nie wiedział. Dumanie jego przerwał Bazyli, który głosem drżącym wyznał przed panem, iż powierzony jemu trzos z pieniędzmi oddał był Janowi. Tem wyznaniem dopełnił sługa miarę trosków, niepokojów i kłopotów opiekuńskich.

Drugi tydzień upływał od dnia tego. Pan Rawa, wróciwszy do Krakowa, po długiem jeżdżeniu po kraju, smutny i niepocieszony, wybierał się właśnie do przyjaciela swojego, Podkomorzego, końcem zasięgnienia jego światłej rady w tej sprawie, niepokojącej go tyle, kiedy przybyły konny posłaniec oddał mu pismo. List, datowany z Kamieńca Podolskiego, następującej był osnowy:

»Drogi mój Opiekunie i Dobrodzieju najłaskawszy! Ani pora, ani usposobienie moje po temu, »ażebym dzisiaj mógł wypełnić obowiązek, ciążący na mnie, uniewinnił siebie z postępków moich, »i żebrał przebaczenia łaskawego stryja za wiele »niepokoju i troski, którem sprawił, bez pożegnania i tak nagle się oddalając. Jestem na połowie »drogi mojej; dziś jadę dalej, wraz z Księdzem Trinitarzem, który będzie mi przewodnikiem do Turcyi, a jadę tam nie w innym zamiarze, jak jeno »w tym, ażebym kapitalikiem moim, który wziąłem »(trafem szczęśliwym to się stało), wykupił Pana »Wojciecha Malczewskiego z tureckiej niewoli, oddał go matce i siostrze Maryjannie. Bóg-to podał »mi tę myśl i Bogu za nią wdzięczen jestem; bo »ona jedna zachowała mnie przy życiu, i wtenczas, »kiedym odjechał i pędził nie wiedzieć dokąd, a »nadjechawszy nad Dunajec, skoczyć weń już chciałem, i życie nieszczęśliwe zakończyć, postrzegłem, »iż wiozę z sobą pieniądze takie wielkie; przyszła »wtenczas ta myśl od Boga dana, pieniędzmi temi »abym wyratował jednego człowieka; ta myśl wstrzymała mnie w zapędzie mojej rozpaczy... już, już »w śmierć mnie wtrącającej. Dojechałem tu szczęśliwie. Dobrze i gościnnie przyjęty od OO. Trinitarzy, dostaję za towarzysza braciszka. Bóg dopomoże, wykupię Wojciecha i rad temu jestem, ażebym i teraz nawet przekonał niedobrą i niewierną Maryjannę, jak ją miłuję. O Boże! a ona...

»Niech wie o tem, niechaj pozna człowieka, którym »wzgardziła, i kiedy miłować nie chce i nie może, »bo inny ją zajmuje, niech przynajmniej wdzięczność »i szacunek chowa dla mnie, a patrząc na brata, cie»sząc się Wojciechem, wspomni choć czasem na te»go, który go wyratował, a który do śmierci będzie »dla niewiernej wiernym. Skoro Bóg da, załatwię »tę sprawę, wrócę do łaskawego stryja dobrodzieja »i u nóg jego wyżebram przebaczenie za błędy mo»je, ślubując uległość, posłuszeństwo i wdzięczność »na cały dalszy mój żywot, który oby był tak kró»tki, jak jest i będzie zawsze zaprawiony goryczą. »Zostaję dla kochanego stryja i osobliwego mego »Dobrodzieja z synowskiem posłuszeństwem, najo»bowiązańszy służebnik i synowiec najprzywiązańszy.

Jan.«

Datum w Kamieńcu Podolskim
d. 16 lipca 1690.

Dopisek do listu. »Dołączam jeszcze prośbę je»dną do Pana Stryja, ażeby odtychmiast dana być »mogła wiadomość Pani Malczewskiej, albo Pannie »Maryjannie o tem, com napisał względem wyku»pienia Wojciecha z niewoli. Taka wiadomość przy»niesie tam radość wszystkim, i zapobieży może ja»kiej szkodzie; bo nie bez tego, żeby nie zamyślali »o zaciągnieniu jakiego długu, albo może i o sprze»daniu wioski, celem ratowania syna; które środki »wszystkie, w skutkach swych szkodę przynoszące, »stają się zbyteczne, ponieważ ja kapitalikiem mo»im wykupię już Pana Wojciecha Malczewskiego »z jego niewoli, i to niezawodnie.«

Pan Rawa, list przeczytawszy od deski do deski, składając i wsuwając nazad do koperty, bo taki miał zwyczaj, będąc człowiekiem porządek lubiącym, rozśmiał się radośnie i głośno, ale przy uśmiechu radości tak niespodziewanej, inne jakieś uczucie w nim powstałe, objawiło się łzami w źrenicach. Po raz pierwszy w życiu zapłakał starzec, i sam nie wiedział, zkąd się te łzy wzięły: czy z wielkiej radości płynęły, czy z rozrzewnienia. Ale łzy te były tłumaczami innego uczucia: serce starca, wstrząśnięte tak mocno jak nigdy dotąd, uroniło te krople w hołdzie i części dla tego, który bliźniemu niósł pomoc i uwolnienie, te krople były słowami czci dla zacnego, pięknym czynem ubogaconego młodziana. Płakał starzec, i śmiał się razem.

— A to mi ulokował summę, — mówił do siebie, — niech go Pan Bóg *sekunduje*, żeby przynajmniej tę dziewczynę miał w procencie; nieborak, żal mi go, ale *quid agere?* niewiernica! porzuciła go. Nie darmoć-to mówią: czas pociechę niesie; przyniesie i jemu: zapomni o wszystkiem, wróci spokojność i swoboda. Dzięki Bogu! nie ona jedna na świecie, są inne i piękniejsze i bogatsze, a afekt miłosny znajdzie się w sercu młodem, bo o to nie trudno. Ale co żąda, uczynię: napiszę do Pani Malczewskiej, doniosę o wszystkiem, nie omieszkam namienić, że ponieważ wydaje córkę za bogatego Starostę, będzie tedy mogła powrócić mało-letniemu summę, zaliczoną na wykupno syna. Jest-to dług w potrzebie; gdyby robiła jakie ekscepcyje, gotowym i mogę *ex puncto mandatarii* zapozwać babę do Ziemstwa i wygram sprawę.

Zabierał się do pisania, ale wzruszenie, jakiego doznał w dniu owym, rozerwało do tyla jego myśli, iż do napisania listu nie był sposobnym. Rzecz tę odłożył na później, nie wiedząc, ażeby nagłą być miała i zwłoki nie cierpiącą.

W kilka dni dopiero napisał list; odczytawszy go po razy kilka z uwagą, i przekonany, że nie ma nic dodać, ani ująć, zapieczętował, przywołał Bazylego i kazał mu się sposobić do dalekiej drogi. Dnia następnego rankiem odjechał Bazyli, napomniany, ażeby przyniósł odpowiedź Pani Malczewskiej, a w razie jej nieobecności, recepis odbierającego list, pieczęcią korroborowany.

(Dokończenie nastąpi.)

Szarada.

Pierwszego z trzeciem dzisiaj lubione powieści;
Drugie ptaki, zwierzęta, gady w sobie mieści;
Trzecie litera; *wszystko* w podróżach nam znane,
Choć pod innem nazwiskiem teraz używane.
